



FOT. TOMASZ WOSIAK

Marcin Łabaziewicz podczas koncertu w PSM.  
Jego umiejętności oraz brzmienie nowego doskonałego fortepianu znajdującego się w szkole, wprawiły publiczność w zachwyt

Świetny koncert byłego ucznia

# Łabaziewicz zagrał w PSM

Haydn, Szymanowski, Chopin, Liszt – utwory tych kompozytorów usłyszała publiczność, która 19 stycznia przyszła na koncert w stalowowolskiej Państwowej Szkole Muzycznej. Na scenie wystąpił jeden z jej najzdolniejszych absolwentów – Marcin Łabaziewicz, znany w USA jako Martin Labazevitch.

To był prawdziwy popis, stąd nie może dziwić, że utwory wykonywane przez tego pochodzącego ze Stalowej Woli muzyka publiczność nagradzała głośnymi brawami. Szczególnie gromkie otrzymał po mistrzowskim wykonaniu Ballady f-moll Fryderyka Chopina oraz Sonaty h-moll Franciszka Liszta.

W przeszłości ten utalentowany muzyk uczył się w PSM pod kierunkiem Barbary Hetper-Rosółowskiej i Ryszarda Marchewki. Kontynuował potem naukę w słynnej Akademii Muzycznej w Odessie na Ukrainie. Następnie wyemigrował do USA, gdzie został stypendystą Manhattan Scho-

ol of Music w Nowym Jorku. Jeszcze w trakcie nauki zdobył prestiżową nagrodę Harolda Bauera dla najlepszego pianisty roku tej renomowanej uczelni, a w 2008 roku ukończył ją z wyróżnieniem.

Marcin Łabaziewicz jest również laureatem wielu innych nagród, między innymi: izraelskiej Rina Menashe Award, a także nagrody przyznawanej przez działającą w USA Fundację Kościuszkowską. Koncertuje nie tylko na amerykańskich scenach, ale również w Japonii oraz w Europie. Tuż przed przyjazdem do Polski wystąpił na koncertach w Hiszpanii i na Litwie.

(tw)



Zatrzasnąłem się w korytarzu na 5 minut przed najważniejszym koncertem w moim życiu

# Bacha gram z duszą na ramieniu

O sukcesie, życiu w Stalowej Woli i w Nowym Jorku oraz występach w Carnegie Hall i graniu do kotleta – rozmowa z MARCINEM LABAZIEWICZEM, pianistą pochodzącym ze Stalowej Woli, który robi karierę w USA jako MARTIN LABAZEVIČ

**– Gry na fortepianie uczyłeś się już jako kilkuletnie dziecko. Czy pamiętasz jeszcze, jak rozpoczęła się twoja przygoda z muzyką?**

– Podobnie jak wielu innych muzyków, miłością do grania zaraziłem się już w domu. Moja mama grała na pianinie, a obok niego stało moje łóżeczko. Siłą rzeczy słuchałem więc tego, a później próbowałem ze słuchu powtarzać grane przez nią utwory. Razem z babcią uwierzyły, że mam talent i jak miałem 5 lat, zaprowadziły mnie do Państwowej Szkoły Muzycznej w Stalowej Woli. Byłem jednak za młody, żeby mnie do niej przyjęli, więc zacząłem pobierać prywatne lekcje u pani Barbary Rosołowskiej. Pamiętam, że ćwiczyliśmy w sali numer 4. Później rozpocząłem już normalną naukę w PSM i kontynuowałem ją tu do szesnastego roku życia.

**– Później wyjechałeś do Odessy, gdzie uczyłeś się w tamtejszej Akademii Muzycznej. Nie było ci trudno – samemu, tysiące kilometrów od domu i rodziny? Taki wyjazd to chyba spore wyzwanie dla nastolatka?**

– Uczyłem się tam pod kierunkiem profesora Anatolija Kardaszewa, który jest częstym gościem naszej stalowolskiej PSM. W sumie spędziłem w Odessie 3 lata. Nie mówię, że był to łatwy okres, bo byłem skazany wyłącznie na siebie, ale z drugiej strony była to dla mnie niezła szkoła życia. Musiałem szybko nauczyć się sam sobie radzić i nauczyć się języka rosyjskiego. Pamiętam, że mama była przerażona tym moim wyjazdem i dzisiaj wcale się jej nie dziwię. Ale ja wtedy nie brałem pod uwagę innej możliwości – koniecznie chciałem wyjechać. Na początku było mi trudno i przeżywałem duży stres, ale później już się tam zadamowiłem i zacząłem poznawać urok Odessy. To wspaniały kurort ze świetną plażą, pięknymi dziełami sztuki i smacznym jedzeniem. W pewnym momencie zaczęło mi się tam żyć tak dobrze, że przestałem odczuwać dalszą motywację do nauki.

**– I wtedy przeniosłeś się do Nowego Jorku, w którym mieszkaś do dziś...**

– Moim zdaniem, dla muzyków to najlepsze miejsce na świecie. Zresztą nie tylko dla muzyków, ale wszystkich artystów. Dla porównania, w większości miast koncerty czy nowe wystawy zdarzają się raz na jakiś czas, a w Nowym Jorku jest ich po kilkanaście każdego wieczoru. Dzieje się tam ogromnie dużo i to jest bardzo budujące dla artystów. Że już nie wspomnę o tym, że takim ludziom jak ja, łatwiej tam znaleźć sobie zajęcie.

**– A propos pracy: dajesz radę utrzymać się z samych koncertów czy musisz dorabiać?**

– Od początku pobytu w Nowym Jorku pracuję. Nawet jak byłem stypendystą Manhattan School of Music, to musiałem dorabiać, bo samo stypendium tej uczelni nie wystarczało, żeby się utrzymać. Dawałem więc lekcje gry na fortepianie, grałem w kościołach, synagogach, restauracjach i na różnych przyjęciach. Zresztą, nadal to robię.

**– Grasz do kotleta? Wielu znanych muzyków to robi, ale niewiele chce się do tego przyznać...**

– Nie rozumiem tego, przecież to żaden wstyd. Oczywiście nie jest to coś, czym się szczycę w moim résumé, ale nie zmienia to faktu, że to praca jak każda inna, więc dlaczego miałbym się jej wstydić? Żadna praca nie jest zła, jeżeli jest uczciwa. Często pieniądze zarobione na graniu w restauracji, pozwalają mi później wyjechać i wystąpić na jakimś ambitnym koncercie. Bo sytuacja jest o tyle kuriozalna, że za występy na imprezach ważnych pod względem muzycznym muzycy dostają często mniej niż za granie w restauracjach.

**– Skoro mówimy już o ważnych koncertach, to warto wspomnieć, że jesteś chyba jedynym stalowolaninem, który występował w słynnej nowojorskiej Carnegie Hall. Czy dla ciebie jako muzyka było to duże przeżycie?**

– Nie wiem, czy w Carnegie Hall grał jeszcze ktoś ze Stalowej Woli. Ja przynajmniej nie kojarzę takiego zdarzenia. Rzeczywiście, dla mnie ten koncert był niezwykle ważnym wydarzeniem, jednym z takich, o których się marzy. Ekscytowałem się, że mogłem wystąpić na scenie, na której grali wcześniej najwięksi i najwybitniejsi muzycy. Jednocześnie z tego powodu towarzyszy ci olbrzymi stres, ale jak już się sięga do fortepianu, to myśli się tylko o tym, co jest do zagrania.

Zresztą tamten wieczór zapamiętam na zawsze z jeszcze jednego powodu, bo przydarzyła mi się wtedy

Niegranie przez tydzień mogę porównać do niejedzenia przez tydzień. Po prostu muszę to robić.

bardzo śmieszna historia. Otóż, Carnegie Hall to olbrzymi budynek z trzema salami koncertowymi, mnóstwem mniejszych sal, pokoi i korytarzy. I jakieś 5 minut przed wyjściem na scenę zachciało mi się pić. Wyszedłem z garderoby poszukać źródła, wszedłem do jakiegoś korytarza i usłyszałem, jak drzwi za mną się zatraskują. To było piąte piętro, wszystkie drzwi na tym korytarzu były pozamykane, a ja za kilka minut miałem rozpocząć najważniejszy w moim dotychczasowym życiu koncert! Byłem załamany. Zobiegłem po schodach na parter, musiałem wyjść z budynku tylnym wyjściem, obiegać i wejść głównymi drzwiami. Po drodze jeszcze przesiadałem się przez ludzi w hallu i w efekcie na scenę wyszedłem spóźniony. Już nie wspomnę o tym, że byłem cały spocony, zziębnięty i lekko roztrzęsiony całym zamieszaniem (śmiech). Ale najważniejsze, że udało się i zagrałem.

**– Występujesz na całym świecie, jesteś laureatem kilku prestiżowych nagród. Czy czujesz, że odniosłeś sukces?**

– Nie, nie patrzę na to w tych kategoriach. Może będę się nad tym

zastanawiał w wieku 80 lat. A teraz po prostu obrałem taką drogę w życiu i nie myślę o tym, czy jest to sukces, czy też nie. Sukcesem – pod względem zawodowym, byłaby możliwość wystąpienia ze słynną orkiestrą Berlin Philharmonic pod dyktando Simona Rattle'a.

**– Czy widzisz różnice pomiędzy publicznością, przed którą koncertujesz? Czy w różnych krajach reaguje ona w różny sposób?**

– W każdym kraju publiczność jest zupełnie inna. Na przykład w Hiszpanii jest bardzo żywa i bije brawo w specyficzny sposób, przypominający klaskanie w rytmie flamenco, co gdzie indziej oczywiście się nie zdarza. Znowu w austriackim Salzburgu publiczność tupie nogami, gdy podoba jej się występ. To bardzo przyjemne usłyszeć tam takie tupanie. Znowu w Japonii publiczność jest bardzo opanowana, można nawet pomyśleć, że chłodna. Tam po koncercie nie usłyszysz krzyków z sali, co na przykład w Stanach Zjednoczonych jest normalne.

**– Żyjesz i głównie koncertujesz w USA. To dlatego zmieniłeś pisownię imienia i nazwiska z Marcin Labaziewicz na Martin Labazevič?**

– Dokładnie. Za granicą, a zwłaszcza w Stanach, w których mieszkam od 9 lat, każdy łamał sobie język na moim nazwisku. Dlatego początkowo, po moich koncertach publiczność mówiła, że grał Mr. Labaz albo Mr. L. I to mnie denerwowało, bo kto to jest Mr. L? Dlatego, zmieniając paszport na amerykański, zmieniłem od razu pisownię imienia i nazwiska na Martin Labazevič. Zależało mi, żeby ktoś potrafił się wypowiedzieć, a może i zapamiętać, bo dla muzyka to przecież niezmiernie ważne. Natomiast nie chciałem, broń Boże, odcinać się od polskich korzeni. Gdyby tak było, to zmieniłbym nazwisko na przykład na jakiegoś Smitha czy Jonesa.

**– A jak wspominasz czasy sprzed wyjazdu, mam na myśli życie w Stalowej Woli?**

– To oczywiście bardzo dobre wspomnienia. Na szczęście wychowałem się normalnie, nie zostałem – jak wielu moich kolegów muzyków, już jako dziecko oddany do jakiejś szkoły z internatem. Mieszkaliśmy w

domu i uczyłem się w zwykłej szkole. Miałem więc kumpli, z którymi wygłupialiśmy się i normalnie dojrzwialiśmy. Do dziś bardzo dobrze wspominam kawiarnię „Pod papugami”, gdzie wiele się działo i razem z kolegami – między innymi Rafałem Łatawcem i Bartkiem Hadaą, mieliśmy możliwość występowania na scenie. Panowała tam bardzo twórcza atmosfera, której potrzebują wszyscy artyści. Inicjatorem tego, co działo się w tej kawiarni, był Zbigniew Rojek. Uważam, że takim ludziom jak on powinniśmy być wdzięczni za to, że starają się organizować życie kulturalne. Bo w takich małych miastach jak Stalowa Wola to niełatwe.

**– Od chwili gdy wyjechałeś ze Stalowej Woli minęło już 12 lat. Czy od tamtej pory to miasto bardzo się zmieniło?**

– W sumie przyjeżdżam tu każdego roku na kilka dni, żeby odwiedzić rodzinę. I powiem ci, że miasto bardzo się zmienia, moim zdaniem na lepsze. W ogóle cała Polska się zmienia i to na plus. Więcej się dzieje, ludzie mają też większe możliwości. Jedyne, co się nie zmienia, to drogi, które dalej są kiepskie.

**– Ile czasu poświęcasz na ćwiczenia?**

– To zależy. Jeżeli jest to okres, kiedy mam dużo koncertów, to ćwiczę więcej, żeby być w formie. Średnio po 4-5 godzin dziennie. Bo to jest tak samo jak z egzaminami – gdy się zbliżają, to uczysz się więcej, żeby dobrze wypaść. Ale jako nastolatek ćwiczyłem znacznie więcej, czasami nawet po 10 godzin dziennie. Teraz zdarzają się dni, na przykład kiedy podróżuję, że nie gram wcale. Są momenty, że nie siadam do fortepianu nawet przez tydzień. Ale te przerwy nigdy nie są dłuższe. To już jest tak integralna część mojego życia, że niegranie przez tydzień mogę porównać do niejedzenia przez tydzień (śmiech). Po prostu muszę to robić.

**– A jak już siadasz i grasz, to którego z kompozytorów najczęściej?**

– W zasadzie lubię grać muzykę wszystkich kompozytorów. Choć takim moim ulubionym; i to już od dziecka, jest Jan Sebastian Bach. I co ciekawe, jego gra mi się zawsze najtrudniej. Jego utwory są dla mnie swojego rodzaju świętością, po prostu boję się je zepsuć. Dlatego na koncertach Bacha zawsze gram z duszą na ramieniu (śmiech).

Rozmawiał:  
**TOMASZ WOSK**